

Giorgio Rayzacher

Długa droga do Edenu

Powieść

**Tragiczne losy wielkiej miłości na ziemi
polskiej, francuskiej i włoskiej.**

Miłosne historie Włochów, Polaków i Francuzów, splątanych w szalonej namiętności. Bezlitosne spojrzenie na dzisiejszą Polskę oczyma obcokrajowców, którzy w niej mieszkają; ich zdziwienia i niedowierzanie w obliczu państwa, które skazuje na bezrobocie, biedę i nędzę wилu swoich obywateli, pozbawiając ich najbardziej elementarnych praw człowieka. Ale również spojrzenie krytyczne młodej Polki na zachodnią rzeczywistość nie tak obiecująca, jakby się mogło wydawać, gdzie powierzchowność i dobrobyt czynią człowieka jeszcze bardziej nieczułym.

Rozdział pierwszy

Początek końca.

Spoglądała na niego, wyprostowana, nieruchoma, skamieniała z bólu, a ciepły wiatr, który właśnie się zerwał, rozwiewał jej długie włosy, miejscami jaśniejsze, miejscami ciemniejsze, zakrywając chwilami jej twarz, tonącą we łzach spłukujących makijaż. Długie, czarne smugi tuszu podkreślały wystające kości policzkowe i zapadniętą od smutku twarz, tworząc delikatną siateczkę, jakby pajęczynkę na porcelanowej cerze. Zachodzące słońce oświetlało ognistoczerwonymi promieniami marmurowe płyty Trocadéro. Kładło się na ośmiu statuach ze złoconego brązu Pałacu Chaillot, dumnie odcinających się na tle Wieży Eiffel'a. Za chwilę miało zapalić się ponad trzysta reflektorów, a kiedy będzie już ciemno, wielka, żelazna konstrukcja zabłyśnie dwudziestoma tysiącami świateł. Ale ani ona, ani - tym bardziej - on, tego nie zauważą. Spoglądali na siebie: ona we łzach, on z zaciśniętymi aż do bólu szczękami. Zastanawiali się, co ich przywiodło aż tu, do Paryża, żeby napisać to, co zdawało się być ostatnim rozdziałem ich historii. Każde z nich zastanawiało się nad tym na swój sposób, oboje zagubieni w meandrach czasu, w przeszłości, w ciemnym labiryncie pamięci. Ich historia była bowiem skazana na niepowodzenie: przez nagłe wybuchy szaleństwa, które niczym fala wzburzonego oceanu niezrozumienia rozdzieliło ich w tragiczny i

definitywny sposób. Ale kochankowie jeszcze tego nie wiedzieli. On miał nadzieję, że jest to tylko kolejna kłótnia, która zostanie zażegnana w świeżej pościeli Hotelu „Eden” na Montmartre; ona postawiła ultimatum, gotowa jeszcze przebaczyć, gdyby tylko on nie potraktował jej znowu lekceważąco, jak wielokrotnie już bywało, i dałby się ponieść, nie tylko w słowach, uczuciu, które łączyło ich od tysiąca dni. Chcieli zajrzeć sobie w głąb duszy, starając się przebić pęcherz własnych tajemnic, aby w końcu wypłynęły na powierzchnię, choćby zaropiały.

- Okłamałeś mnie, byliście razem w Wenecji! - rzuciła w końcu, z siłą przypominającą rwącą rzekę. Ten wrzask nie był do niej podobny; musiała być naprawdę wściekła. Rozejrzał się szybko wokół, ale chyba nikt nie usłyszał, co wydawało się dziwne, ponieważ jemu jej głos jeszcze dźwięczał w uszach. Tylko jeden człowiek, chyba Arab, zatoczył półokrąg wokół nich, a następnie prawie natychmiast oddalił się w kierunku stacji metra, posyłając im dziwnie poufały uśmiech. Był biednie ubrany, miał stopy obute w sandały mnicha, płócienne spodnie, wypłowiałe i w wielu miejscach dziurawe. Gęsta, czarna broda okalała ogorzałą twarz, długie, kręcone włosy spadały mu na czoło nie zakrywając jednak gęstych rzęs. Kochanek powtórnie spojrział na swoją kobietę, a ona odezwała się:

- Już nie mam siły. Nigdy się nie zmienisz, jesteś chronicznym kłamcą a ja nie jestem w stanie dłużej znosić twoich żalonych przeprosin - powiedziała odrzucając kosmyk włosów, którym wiatr powiewał jej przed oczami.

- Proszę cię! - krzyknął, i kilkakrotnie potrząsnął przecząco głową, chwytając jej dłoń, która cofnęła gwałtownie, jakby z obrzydzeniem. On tylko

czekał na to „nie”, którego jej usta nie chciały wypowiedzieć.

Spojrzał na nią, jeszcze piękniejszą z tymi zaczerwienionymi od płaczu oczami, nadającymi jej wyraz bezbronności. Miał szaloną chęć przytulić ją i wykrzyczeć całą swoją miłość, a jednak stał tam, sparaliżowany obawą przed jej utratą, niezdolny jasno rozumować, dokonać szybkiej analizy i wymyślić jakieś usprawiedliwienie. Wybełkotał tylko:

- Uwierz mi...To nie tak, jak się wydaje.
- Już ci nie wierzę.

Bezsilnie spuścił wzrok. Ale czemu, u diabła, nie umiał wybrnąć z kłopotliwej sytuacji, on, który był w tym specjalistą? Odpowiedź przyszła nagle, prosta, wręcz banalna: wreszcie był zakochany, ale tak naprawdę, oto, w czym tkwił problem, i nie miał już siły ani ochoty opowiadać bzdur. Poświęcił prawie trzy lata na to, aby dojść do tego, żeby ten wspaniały kwiat, który miał przed sobą nie był tylko łóżkowym romanssem, ale prawdziwą miłością jego życia. I właśnie teraz, kiedy świadom głębi tego uczucia, mógł wreszcie dać jej szczęście, o które wiele razy prosiła, czuł, że było za późno, że wymykała mu się i nie mógł zrobić już nic, aby ją zatrzymać.

W świetle zmierzchu oczy tej, o której marzył żeby została z nim aż do ostatniego tchnienia, zabłysły w oczekiwaniu. Wyczuł podskórnie milczącą prośbę, ale dalej stał jak wryty, z rękami zwieszonymi wzdłuż ciała, przerażony, niezdolny wykorzystać okazji, która mu dała, aby ją zatrzymać. Podniósł oczy i popatrzył na nią, bezgłośnie prosząc o litość. Wtedy jej usta najpierw otworzyły się, jakby chciała coś powiedzieć, zrazu nieśmiałe, potem drżące, lecz na koniec zacisnęły

się twardo, a jej wzrok przygasł w rozczarowaniu. Przez chwilę miał nadzieję, że uda się mu ją przekonać, wykrzyczeć, że chodziło tylko o głupi żart i że później, po spacerze na Placu Pigalle, który sobie zaplanowali, wrócą szczęśliwi do hotelu, tak jak zaledwie godzinę temu, kiedy z niego wychodzili. Czy godzina wystarczy, aby zniszczyć trzy lata miłości, która, jak się wydawało, miała umrzeć dopiero wraz ze śmiercią ich ciał? Zaczęła czuć do niego nienawiść połykając łzy, których nie był już wart. Przypomniał sobie wczorajsze popołudnie, kiedy byli na Père Lachaise, właśnie o tej porze, kiedy słońce skosem oświetla groby. Szli boczną dróżką prowadzącą do grobu Szopena; cisza była tak sugestywna w świetle, które zapowiadało zmierzch, że także ich oddechy stały się spokojniejsze; spoglądali na siebie porozumiewawczo; rozumieli się w lot: chcieli razem wykradać szepty umarłych ze świergotu tysięcy ptaków.

Jak tylko doszli do posągu *Musique en pleurs*, Barbara włączyła aparat cyfrowy i przyłożyła oko do obiektywu, gotowa pstrykać z impetem; ale najpierw uśmiechnęła się do swojego mężczyzny, dobrze wiedząc, o czym myślał. W istocie, Valerio patrzył na nią opierając dłonie na biodrach, z głową lekko pochyloną, z chytrym wyrazem twarzy, gotowy do krytyki.

- Kochanie, czy musisz zawsze patrzeć na wszystko przez obiektyw?

- Znasz mnie przecież - wyszeptała Barbara ledwo rozchylając usta, aby nie przeszkadzać parze, która dołączyła do nich i stała przed pomnikiem pianisty. - Największy świecki cmentarz na świecie - mówiła dalej zachwycona rozglądając się wokół - chrześcijanie, Żydzi, muzułmanie, ateści, samobójcy pochowani w tym

samym miejscu... Kiedy mój kraj osiągnie ten sam stopień rozwoju?

- Polska to odosobniony przypadek - odpowiedział Valerio. - Tam panuje papieska dyktatura. To Napoleon, z zasady laicki i wrogi księżom, chciał dać każdemu prawo do pochówku, czy był chrześcijaninem czy nie, na złość Kościołowi. Dlatego kazał zbudować ten cmentarz, który stał się pomnikiem nie tylko tolerancji, ale również podstawowych praw człowieka.

Na chwilę ptaki uciszyły się, a odgłos pstrykanych zdjęć stał się ogłuszający, więc przestała. Popatrzyła na Valerio, który z powrotem stanął przy niej.

- Chodźmy do Oscara Wilde'a...- zaproponował.

- Dobra, ale potem też do Jima Morrisona.

Pogłaskał ją po policzku. Często to robił. Wystarczyło, że popatrzyła na niego tymi wielkimi, niebieskimi oczyma, a dawał za wygraną.

- Gdzie zechcesz, ptaszynko - i pocałował ją w czoło. Cofnęła się.

- W czoło nie! Dobrze wiesz, że tego nie znoszę, ile razy mam ci to powtarzać!

- Ale ja uwielbiam twoje piękne czoło - usprawiedliwiał się składając usta w trąbkę, gotowy powtórzyć pocałunek.

- Nie bądź złośliwy. Kiedy tak robisz, czuję się jak twoja córka, a nie jak twoja kobieta.

- Jesteś po trochu jedną i drugą.

- Nie chcę być twoją córką! Ale bardzo bym chciała mieć z tobą dziecko...- Zwiesiła głowę, jakby chciała wypowiedzieć te słowa do wiatru, żeby je zmiotł razem z liśćmi, które krążyły w te i we wte pomiędzy grobami. - Nie zwracaj uwagi na to, co powiedziałam. Nie wiem, co mi przyszło do głowy.

Valerio chwycił jej dłoń i uniósł ją do ust a potem przytknął do niej nos, aby chłonać jej zapach.

- Naprawdę byś tego chciała? -

- Nie pierwszy raz ci o tym mówię i za każdym razem żałuję. Dobrze wiem, że nie ma takiej możliwości aż...

- Aż się rozwiodę...

- Czyli nigdy! - ucięła Barbara, nie chcąc ciągnąć rozmowy, która zakończyłaby się kłótnią. Zaczęła nerwowo szperać w torbie. Wyjęła plan cmentarza i zaczęła go studiować.

- Kocham cię - wyszeptał Valerio, obejmując ją wpół i starając się ją pocałować. Czuł się jak idiota, nigdy nie umiał dać jej ostatecznej odpowiedzi, dodać otuchy. To banalne *kocham cię* i dłonie błądzące po jej ciele, wydawały mu się bardziej ucieczką, niż prawdziwym przypływem uczucia. Ona, jakby czytając w jego myślach, wymknęła mu się, odsuwając się w bok, lekka jak motyl.

- Przestań już i chodźmy do Oscara! - krzyknęła udając zniecierpliwienie i dając mu palcem znak, aby poszedł za nią. Trzymając się za rękę, w niebywałym spokoju Père Lachaise, wędrując pomiędzy grobami, nadal myśleli o przyszłości. Nagle ten spokój zakłóciła grupka młodych ludzi, którzy pojawili się na ścieżce prowadzącej do grobu Wilde'a. Profanując ciszę należną umarłym zatrzymali się blokując przejście i zaczęli wulgarnie komentować czarujące kształty Barbary.

Valerio zrobił krok naprzód, ale Barbara go powstrzymała chwytając go z całej siły za ramię.

- Nie ruszaj się!

- Ale słyszałaś, co mówili?

- Wiesz dobrze, że nie znam francuskiego, dlatego nic nie słyszałam. To nieważne. Nie zwracaj na to uwagi, chodź, wracamy.

- Nie mogę pozwolić, żeby ktoś cię tak traktował. Z kieszeni kurtki jednego z chłopaków wystawał lakier w spray'u, inny trzymał w ręce kij baseballowy.

- Co, staruszkule, możesz jeszcze to robić? - krzyknął jeden z nich, ściskając genitalia o wymownym geście.

- Niezła dupa - dodał drugi, ten z kijem - szkoda ją tak marnować, daj ją nam przelecieć, a potem ci ją oddamy jak nową. Prawie...

Cała czwórka zaniósł się śmiechem.

- To Arabusy, pewnie właśnie obrabowali jakiś żydowski grób...- wyszeptał Valerio, który świetnie znał francuski. Był zdeterminowany do granic możliwości. Barbara nie była zdolna go już powstrzymać.

- Spadajmy stąd! - krzyknęła z całej siły. Czterech facetów stało w odległości niecałego metra od nich. Czuć było ich cuchnący oddech, mieszaninę czosnku i cebuli z dodatkiem przypraw i wina najgorszej jakości. Valerio nie chciał się tak po prostu poddać bandzie rzezimieszków, ale czuł, że nie da rady im czterem, poza tym oni na pewno mieli noże.

- Chodź Valerio, uciekajmy, bo nas zabiją!

Cała czwórka popatrzyła na siebie pytająco, nie znali tego języka. Valerio pomyślał przez chwilę, wystarczająco długą, aby zdać sobie sprawę, że ucieczka była jedynym sposobem na ratunek. I odpowiedział jej, również po polsku, choć w nienajlepszym wydaniu, ściskając ją mocno za rękę, przygotowany do skoku:

- Gotowa?...Uciekamy!

Zrobili razem obrót i zaczęli biec w kierunku głównej alei prowadzącej do jednej z pięciu bram.

Zaskoczeni mężczyźni zareagowali z opóźnieniem i kiedy zdecydowali się pobiec za nimi, w oddali pojawili się dwaj żandarmi, którzy w lot zorientowali się w sytuacji i skierowali się prosto na nich.

Valerio i Barbara, bez tchu, ale szczęśliwi, że im się udało, dotarli do *Porte des Amandiers*. Obejrzeli się za siebie, aby ostatni raz spojrzeć na to fascynujące miejsce, gdzie sztuka z naturą jednoczą się, tworząc harmonię dającą ukojenie, zapraszającą do medytacji i marzeń. Ale i to miejsce zdeptało ludzkie chamstwo i nietolerancja.

Zeszli po schodkach i dotarli do metra, nie wiedząc jednak o tym, że ich szczęście miało trwać już tylko jeden dzień. Do dzisiaj, do wspaniałego, smutnego zachodu słońca na Trocadéro.

Valerio usiadł na schodkach i patrzył na migoczącą choinkę, w którą zamieniła się Wieża Eiffel'a. Barbara celowo ignorowała go, zaczęła robić jedno zdjęcie za drugim, jak szalona, jak zestresowana Japonka, przerywając od czasu do czasu, aby wydmuchać nos i obetrzeć płynące obficie łzy. Valerio utkwiał wzrok w tym wspaniałym klejnocie, który jego serce ośmielało się jeszcze uważać za swój. Nie wiedział jak wybrnąć z sytuacji, która, jak się obawiał, stawała się nieodwracalna. Popełnił błąd: kiedy jechali metrem pod Wieżę Eiffel'a, zwrócił się do niej nazywając ją innym imieniem, a dokładniej imieniem żony, choć czy ogło to być dostatecznym powodem aż takiej reakcji? Jednak czuł, że dla Barbary była to klasyczna kropka nad „i”, pretekst pozwalający na to, aby zakończyć raz na zawsze romans z żonatym mężczyzną, który co wieczór wracał do żony, zostawiając ją, aby sama rozgrzewała się w łóżku. Krótkie weekendy, skradzione dni wypadów za granicę już jej nie wystarczały, mówiła mu to wielokrotnie. Czekwała

trzy długie lata, dziesięć procent lat, które miała. Zbyt długo, zbyt samotnie. Zwłaszcza, że był o 15 lat starszy od niej. Może to też zbyt wiele.

Valerio starał się postawić na miejscu Barbary i spróbować odczuć to, co ona czuła teraz i co mogła czuć przedtem. Gdyby zdecydował się na to wcześniej, nie byłiby zmuszeni teraz lizać swoich ran. Ale właściwie zdał sobie sprawę, kim była dla niego Barbara, dopiero kilka minut temu. Czy faktycznie było już za późno? Co za głupota zrozumieć, że się kocha dopiero wtedy, kiedy obiekt twoich uczuć już do ciebie nie należy.

Rozdział Drugi

Początek.

Valerio.

Warszawa w zasadzie nie była aż tak okropna, jak ją opisywali niektórzy Polacy. Przynajmniej z punktu widzenia Valerio, który przyjechał tu z małej wioski w Piemontcie, gdzie nie było nic lepszego do roboty niż praca. Kiedy firma zaproponowała mu otwarcie i kierowanie filią w Warszawie, natychmiast się zgodził, nie konsultując swojej decyzji nawet z żoną. Wiedział przecież, że pieniądze były dla niej najistotniejszą sprawą, a dieta służbowa i reszta dochodów prawie podwoiłaby jego dyrektorską pensję. Lori była kobietą z marmuru, stąpającą twardo po ziemi, a po dziesięciu latach małżeństwa, wspólny majątek i obustronne zaufanie zajęły miejsce miłości, którą to łudzili się doświadczać na początku ich związku.

Przez sześć miesięcy mieszkał sam, ciężko pracując i uczęszczając na kursy języka polskiego. Jak na Włocha, rzecz dziwna, miał talent do języków. W czasie licznych pobytów w Paryżu posiadał biegłą znajomość francuskiego, a łamanym angielskim był w stanie się porozumieć. W zasadzie był jedyną osobą w firmie, która mówiła więcej niż tylko po piemoncku.

Kiedy dołączyła do niego Lori, sam nie wiedział, czy ma się z czego cieszyć. Oczywiście, że gdy wracał wieczorem do domu nareszcie czekał na niego nakryty smakołykami stół, którymi to Lori, jak na dobrą Włoszkę przystało, zdobyła go dziesięć lat temu. Skutkiem tego był rosnący brzuszek, którego próbował się pozbyć często biegając po parku Łazienkowskim. Żał mu jednak też było tych sześciu kawalerskich miesięcy, kiedy mógł robić wszystko to, na co miał ochotę. Nie robił jednak nic specjalnego; wolał trzymać się z daleka od Polek, które to, jak niosła fama, polowały na obcokrajowców, aby ich usidlić. Uwielbiał czytać albo spacerować po cudownych lasach dotleniających Polskę, póki jeszcze nie są wyprzedane. Często spotykał się z Claudio, i Lukiem. Oni również zostali służbowo oddelegowani z Włoch i Francji. Większość jednak czasu poświęcał firmie, która w dowód uznania pozwalała mu wieść wygodne życie. Valerio nie był ani piękny, ani brzydki, wzrostu przeciętnego Włocha, czyli też nie za wysoki. Miał jednak piękne czarne oczy, gęste, wypielęgnowane brwi i ciemne włosy, delikatnie przyprószone siwizną, zawsze czyste i lśniące niczym u Hindusa. Czasami dostrzegał zainteresowane spojrzenia rzucone mu przez kobiety spotykane w pracy, na ulicy i w parku. Nie chełpił się tym jednak; był pewien, że oglądały się za nim tylko z ciekawości; fizjonomią wyróżniał się w tym kraju zdominowanym przez blondynów.

Na twarzy Lori pojawił się znajomy grymas, gdy przekroczyła po raz pierwszy próg umeblowanego mieszkania, które Valerio wynajął za pośrednictwem biura mieszczącego się w pobliżu Starego Miasta. Oznajmiła natychmiast, że trzeba zmienić meble, bo są okropne i czuć wszystko stęchlizną. Valerio wzruszył jedynie ramionami; niewiele go to obchodziło, a poza tym Lori musiała czymś się zająć biorąc po uwagę fakt, że w Warszawie nie mogła pracować jako nauczycielka matematyki.

W kilka dni po przyjeździe, Lori zaczęła nawiązywać nowe znajomości gdzie tylko mogła, a zwłaszcza w środowisku Włochów. W ciągu pięciu lat krąg przyjaciół powiększył się do tego stopnia, że domowe smakołyki stały się odwrotnie proporcjonalne do posiłków jadanych poza domem. Czasami wychodzili razem, ale częściej każde z osobna. Ciche porozumienie zawarte między małżonkami zapobiegało spięciom w związku monotonnym jak długa i spokojna rzeka, dając obojgu wolność wyboru własnego towarzystwa.

Właśnie podczas jednego z licznych wyjść bez Lori, odebrał telefon, który na zawsze miał zburzyć jego spokojną egzystencję.

Siedział przy kawiarnianym stoliku na Starym Mieście, gdzie zwykle spotykał się z przyjaciółmi. Nie usłyszał od razu dzwonka komórki; rzadko kiedy dzwonił ktoś w sobotę. To Claudio pokazał mu, że ma odebrać, robiąc z kciuka i małego palca słuchawkę.

- To pewno Lori - pomyślał głośno.

- A jeśli nie, to kto? - zadrwił Claudio, gapiąc się uporczywie na przechodzącą obok dziewczynę. - Od pięciu lat mieszkasz między najpiękniejszymi cipami na świecie i ani jednej nie zerznąłeś!

- A skąd wiesz? - zapytał Luc, z jak zwykle przesadnym akcentem francuskim, podążając za wzrokiem Claudio i w końcu gapiąc się na dół pleców dziewczyny.
- Niby zimny jak ryba, ale jestem pewien, że..

- Przepraszam was chłopaki - przerwał im Valerio, podnosząc klapkę telefonu. - Możecie być na moment cicho?

- Akurat! To te cygańskie skrzypki robią tyle hałasu! - skomentował Claudio, rzucając pogardliwe spojrzenie trzem Cyganom, którzy śpiewając i rzępoląc na skrzypkach, kręcili się między stolikami.

- Tak, słucham? - powiedział Valerio po włosku, a zaraz potem przeszedł na polski. - Tak, to ja. A o co chodzi? Wywiad? To musi być pomyłka. Nie jestem osobistością i ... Ach! Rozumiem! Dla której gazety pani pracuje? Tak, oczywiście, że znam to czasopismo. Czasami zdarza mi się je przeglądać. Ale kto dał pani mój numer?... Kiedy? Dzisiaj? Wie pani, jestem w towarzystwie przyjaciół i... Nie wiem. Może pani chwilkę poczekać?

Valerio zakrył mikrofon palcem.

- To dziennikarka... Chce ze mną przeprowadzić wywiad do artykułu o cudzoziemcach w Polsce. Zaproponuję jej, żeby tu przyszła. Co wy na to? Moglibyście pomóc mi odpowiadać na jej pytania.

- Czemu nie? Może być zabawnie. Mam szaloną ochotę powiedzieć jej, co myślę o jej rodakach - odrzekł Claudio wiercąc się na krześle .

Miał zwyczaj oglądać się wokół i rzadko kiedy patrzył w oczy rozmówcy. Typowa niespokojna dusza; ciągle szukał kogoś lub czegoś.

- Nie zrobisz tego! - zganił go Luc.- Spróbujmy przestrzegać reguł gościnności. Nie zaprosimy jej tutaj, żeby ją obrażać.

- Przecież ja jej wcale nie chcę obrażać! Od kiedy to wyrażanie własnych opinii...

- No, więc? Zgadza się? - przerwał im Valerio. Mam jej powiedzieć, żeby przyszła?

- W sumie i tak umieramy z nudów - skomentował Claudio. Miejmy nadzieję, że jest ładna. Nie mam ochoty oglądać jakiejś podstarzałej modnisi ubierającej się ciągle na modę komunistyczną, w białej bluzce, spódnicy do połowy łydki i butach z obcasem przypominającym klocek Lego.

Faktycznie była ładna. I to bardzo. Elegancka niczym młoda Paryżanka z zamożnej dzielnicy, stwierdził Valerio. Kiedy w niecałe pół godziny po telefonie zjawiła się przy ich stoliku, Luc skoczył na równe nogi jak sprężyna, żeby znaleźć jej krzesło. Claudio natomiast nie pofatygował się, żeby wstać, a jedynie bezczelnie wlepił wzrok w jej dekolt, podczas gdy Valerio zaproponował jej miejsce Luc'a.

- Przyszła pani prosto do naszego stolika, nie rozglądając się zbyt - zauważył Valerio. Aż tak widać, że jesteśmy Włochami?

- Włochami to jesteście wy! - wtracił się Luc niosąc krzesło.- Pozwoli pani? Luc Garnier, dumny z bycia Francuzem.

I pochylił się, żeby pocałować jej rękę.

- Ty i ta twoja *grandeur*¹- skomentował Claudio potrząsając głową. Denerwowały go ceremonialne ukłony. Gdyby to od niego zależało, zaproponowałby jej od razu, żeby dołączyła do niego w toalecie i koniec imprezy.

- Barbara Gala. Miło mi. Dziękuję za zaproszenie - powiedziała po włosku, siadając i mierząc wzrokiem po kolei każdego z trzech mężczyzn. Valerio poczuł, że się czerwieni, kiedy jej wzrok spotkał się z jego wzrokiem

¹przyp. tłumacza *grandeur* - fr. wielkość, dostojność, bufonada

na trochę dłużej niż było to konieczne. Jak chłopak przyłapany na masturbacji spuścił oczy, podczas gdy adrenalina robiła swoje przyspieszając bicie serca.

- Gala? To nie jest polskie nazwisko! - wykrzyknął Claudio, gotowy natychmiast doszukać się związku między tą pięknoscia a rasą łacińską.

- Jest polskie. Niezbyt popularne, ale polskie. Pisze się przez „ł”, ale przestałam to prostować, kiedy byłam zagranicą. Tak brzmi bardziej po włosku.

Claudio nadał się, rozczarowany.

- Gdzie nauczyła się pani języka tych macho? - zapytał Luc.

- Nauczyła się to nie jest odpowiednie słowo. Uczę się go od kilku lat, ale jak słyhać, z żalnymi rezultatami.

- Pozwoli pani, że się nie zgodzę. Mówi pani dużo lepiej ode mnie.

- No jasne! - wtrącił się Claudio.- Z tym twoim sflaczałym er zakrawasz na pedała.

- Niech się pani nie przejmuj. Claudio to zrzęda, ale nie jest taki zły, jak się wydaje. I wcale nie jest takim homofobem, na jakiego się kreuje. Gustuje w bezczelnych docinkach, proszę mu wybaczyć.

- Dziękuję za obronę, drogi adwokacie. -

Claudio usiadł na krześle i leniwie próbował spoufalić się z młodą kobietą szukając wzrokiem jakiejś szpary między jej kolanami.

- Pani Barbaro, proszę nam wybaczyć. Trochę żywe z nas chłopaki.- A ty Claudio przestań udowadniać, jaki naprawdę jesteś.

- Tym razem ukradłeś hasło Alberto Sordiemu.²

Łamanie pierwszych lodów Valerio pozostawił Lukowi. Czuł się trochę winny, że ją zaprosił, a teraz

² przyp. tłumacza Alberto Sordi - (1920-2003), włoski komik filmowy, słynny ze swojego ciętego dowcipu.

nie umie zabawiać jej tak, jak francuski kolega, który czułby się swobodnie nawet przed obliczem Boga Wszchemogącego. Czuł się zakłopotany i zmieszany, sam nie wiedział, czemu. Podczas gdy przyjaciele docinali sobie nawzajem, a Luc usiłował popisywać się swoją wyszukaną galanterią, równoważąc tym samym zbytnią szczerość Claudio często graniczącą z brakiem wychowania, Valerio trzymał się na uboczu w cichej kontemplacji. Barbara była ubrana w czarną sukienkę na ramiączkach, ledwo zakrywając kolana. Kształt nóg miała idealny, zbyt idealny, miała „nogi” w całym słowa tego znaczeniu, po prostu czarujące. Bose smukłe stopy bez żadnego defektu, z paznokciami pomalowanymi czarnym lakierem, wsunięte były w parę lekkich sandałków na cienkim obcasiku. Delikatny, prawie, niewidoczny makijaż przywodził na myśl piękny letni poranek. Miała gęste, jasne włosy, w kolorze pomiędzy blond a złocistym kasztanem, a wielkie niebieskie oczy błyszczały niczym Adriatyk o zachodzie słońca. Pełne usta bez śladu silikonu i śnieżnobiałe zęby dopełniały wyobrażenia uniwersalnego piękna, jakie miał Valerio.

Odwróciła się nagle i spojrzała na niego, jakby wyczuwając jego myśli. Poczuł się przyłapany niczym podglądacz.

- Co pani zamawia? - zapytał Valerio piskliwym głosem, usiłując zachowywać się naturalnie.

- Poproszę cappuccino. Robią je tutaj prawie tak dobre, jak we Włoszech. - I znowu ten szeroki uśmiech, tak spontaniczny, tak tylko jej. Valerio odetchnął głęboko próbując obniżyć poziom adrenaliny we krwi. Zdołał zatrzymać zaaferowaną kelnerkę uwijającą się między zbyt ciasno ustawionymi stolikami. Zamawiając, śledził ruchy Barbary, która przygotowywała się do wywiadu. Założyła nogę na nogę celowo na ukos od pola

widzenia Claudio i położyła na stoliku cyfrowy aparat fotograficzny i mikrodyktafon, który wcześniej wyciągnęła ze sztywnego pokrowca.

- Cały ten sprzęt to pani czy gazety? - zapytał zaciekawiony Claudio. - Mogę obejrzeć?

- Wszystko moje - odparła dumna. - Proszę, niech pan ogląda.

Claudio wziął do ręki Canona i głaszcząc go gwizdnął.

- Ten model kosztuje majątek.

- Interesuje się tym pan?

- Amatorsko. A pani? - spytał zadziornie.

- Raczej tak. Studiowałam fotografię przez trzy lata podczas stażu w agencji Reutersa w Londynie - odpowiedziała nieco urażona.

Claudio począł ja obserwować rozważając możliwość, że może nie chodzi tylko o dziurę w środku tego czegoś zwanego kobietą, ale raczej na odwrót.

- Drażliwa, co? Prawdziwa Polka. - Musi mieć ostatnie słowo.

- Jestem prawdziwą Polką. Wiem, różnimy się od was i właśnie z tego powodu tutaj jestem.

Niespokojnie poruszyła się na krześle. - Nie chciałabym zabierać panom zbyt dużo czasu. Więc jeśli można, zadam pytania. Czy mają panowie coś przeciw, że będę nagrywać?

- Oczywiście, że nie - odpowiedział Luc za wszystkich.

Valerio zauważył, że dziennikarka zamknęła się w sobie jak ślimak i zrobiło mu się przykro. Zirytowało ją bezczelne zachowanie Claudio i Valerio żałował, że zaprosił ją właśnie tutaj.

- Zależy od pytań - oświadczył Claudio.

- Jeśli na chwilę zamkniesz dziób, będziemy ci wszyscy bardzo wdzięczni! - wybuchnął Valerio.

- Ejże! Tyle hałasu o nic!

-*Tais-toi, enfin*³!- wybuchnął Luc.

- Chłopaki, zbyt się podniecacie - zakpił Claudio.

- To coś w powietrzu, czy też może jakaś cipa?

Spojrzenie jakim go obrzucili dwojga przyjaciele nie wróżyło nic dobrego.

- Ok, Ok. Nie krzyczcie już na mnie, będę już cicho. Obiecuję. I będę mówił tylko pytany, jak grzeczny chłopczyk.

Barbara udała, że nie słyszy. Valerio podziwiał jej klasę.

- Mogę zrobić kilka zdjęć jak będziemy rozmawiać? Może zamieścimy w artykule dwa lub trzy ujęcia.

- O Boże! Strasznie wychodzę na zdjęciach! - śmiejąc się wykrzyknął Luc. - Na pani ryzyko!

Barbara spojrzała pytająco na Valerio.

- Oczywiście. Niech pani robi.

Pytania jednak nie skierowała do Claudio, który rzucił:

- Cóż. Jeśli pani tak nalega, nie pozostaje mi nic innego, jak się zgodzić!

Uśmiechnęła się jednak i atmosfera zaczęła się nieco rozluźniać. Wywiad nareszcie się rozpoczął, a potem i skończył. Claudio, trzymany na wodzy przez Luka, zdołał się mniej więcej opanować. Rozmawiali o stereotypach i o tym, jak to przeciwieństwa przyciągają się jak magnesy.

Rozmawiali, żartowali, obrażali się, a potem godzili.

Zostali przyjaciółmi, wrogami i znowu przyjaciółmi.

³*przyp. tłumacza* Tais-toi, enfin! -*fr.* Bądź wreszcie cicho!

A potem się zakochali.